

Baum, Marzena

Z powołaniem zakonnym jak się rzeczy miały...

Obyczaje 14, 10-13

2003

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Marzena
Baum

Z POWOŁANIEM ZAKONNYM

JAK SIĘ RZECZY MIAŁY...

Od dawien dawna uważano, że naj-wyższym szczęściem kobiety jest dobrze wyjść za mąż i mieć gromadkę zdrowych dzieci. Do dziś w niektórych kręgach społecznych panuje pogląd, iż małżeństwo i macierzyństwo to jedyne, co uszczęśliwia kobietę. W okresie staropolskim twierdzenie to było niemal powszechne a każdą niewiastę, która wybierała inną aniżeli małżeńską drogę życia, uważano co najmniej za dziwaczkę. Co prawda za wielu dróg życiowych nasze praprababki do wyboru nie miały: jeśli nie małżeństwo to staropanieństwo albo... klasztorna cela.

PANNY KANDYDATKI

W XVII i XVIII wieku istniała w Polsce spora ilość klasztorów żeńskich. Niektóre z nich - jak klaryski, cysterki, benedyktyнки czy dominikanki istniały już u nas od dawna, inne przybyły wraz z potrydencką odnową Kościoła. Mimo różnic reguły, wszystkie prowadziły bardzo podobny styl życia - oparty na przestrzeganiu ustaw, zaplanowany, by służyć wspólnotowemu i osobistemu rozwojowi miłości Bożej.

O przyjęciu panny w poczet zakonnego zgromadzenia decydowała głównie ksieni - matka przełożona klasztoru. To od niej zależało, czy zechce wpuścić do środka zgromadzone przed furtą kandydatki, których - wbrew pozorom - spory tłum stał zawsze. Miejsce w klasztorach żeńskich było wówczas mniej aniżeli dzisiaj i na pewno nie starczało dla wszystkich chętnych.

Zanim jednak w ogóle pojawił się problem „przyjmą czy nie przyjmą”, potencjalna kandydatka do habitu stawała najpierw przed innym zagadnieniem: jak uzyskać zgodę rodziny na wstąpienie do klasztoru? Sprawa była o tyle trudna, iż w okresie staropolskim prawo nie zezwalało pannie na samodzielne podejmowanie decyzji bez zgody ojca czy urzędowego opiekuna. W praktyce zaś liczyło się nie tyle samo prawo, co również zwykłe ludzkie układy rodzinne - plany rodziców, rodzeństwa, a nawet dalszych krewnych. Owszem, zdarzały się rodziny, w których nawet kilka rodzonej siostr wstępowało jednocześnie do różnych klasztorów albo też kilka kolejnych pokoleń bratanic i siostrzenic szło w ślady swoich ciotek, idąc często do tego samego klasztoru, co ich starsze krewnie. Co ciekawe, czyniły to przy pełnym zezwoleniu i aprobachie rodziny, w której wybór życia zakonnego uważany był za czyn chwalebny. Przypadków takich było jednak niezbyt wiele. Częściej zdarzały się sytuacje, w których rodzina stawiała ostry sprzeciw: „Pierwej ja złą śmiercią zginę, niżelibyś wasza miłość będąc tak zacną panną, zakonnica być miała!” - takie i w podobnym tonie groźby padały pod adresem szlachetnie urodzonych panie-

nek, mających zamiar spędzić swe życie w klasztornych murach. Bywało więc, że panny kierując się fredrowską zasadą „co zawadza, to się mija, gdy nie może być inaczej”... po prostu uciekały z domu. I nie miało znaczenia, że rodzice krnąbrnej córki starali się jak mogli zabawić ją i stroić, nie ustawali w zapewnianiu rozrywek, byleby tylko wybić jej z głowy zakonne mrzonki. Zagorzałe orędowniczki klasztorów przeważnie stawały na swoim. Te jednak, które ostatecznie ulegały presji i wychodziły posłusznie za mąż, stawały się później bogatymi fundatorkami i dobrodziejkami zakonów, budując nowe klasztory dla tych, które nie miały żadnych przeszkód w realizacji swego powołania.

Końcem nowicjatu była profesja, czyli śluby zakonne. W tamtych latach nie znano jeszcze ślubów czasowych, które zjawyły się w prawie kanonicznym dopiero w XX wieku. Składano więc od razu śluby wieczyste.

Na ogół jednak nie brakowało naszym antenatkom „energii ni przemyślności” w dążeniu do celu.

Cóż jednak robić z powszechnym mniemaniem, że „dawniej” co i rusz jakaś nieszczęśliwa panna trafiała „za kratę” pod przymusem i wbrew własnej woli? O ile w wiekach średnich rzeczywiście zdarzały się takie wypadki (w myśl przekonania, że ojciec rodziny ma prawo decydować o losach dzieci), tak w XVII bądź XVIII - wiecznej Polsce sytuacje takie nie mogły już mieć miejsca. Sobór Trydencki uregulował tę sprawę, wymagając koniecznej decyzji dobrowolnej i to pod sankcją uznania za nieważne i niebyłe ślubów zakonnych złożonych pod przymusem. Odtąd obowiązywało staranne i kilkakrotne badanie, przeprowadzane przez delegata biskupa w celu upewnienia się czy kandydatki przypadkiem ktoś nie zmusił do wstąpienia. Przyznać trzeba, iż wszystkie zakony powitały tę innowację z niewątpli-

wą ulgą. Koniec odtąd z narzucaniem kandydatek z potężnych rodów magnackich, którym odmówić nijak, a potem przez kilkadziesiąt lat trzeba znosić w klasztorze fochy i humory panny, mającej żal do całego świata o swoje zmarnowane życie.

Najdogodniejszą więc sytuacją była wspólna zgoda rodziców i panny na jej zamiar zostania zakonnicej.

DZIECIĘCIEM BĘDĄC JESZCZE POSZŁA DO KLASZTORU...

Ileż to lat liczyła panienka, która podejmowała - i to na ogół samodzielnie - decyzję wstąpienia do klasztoru? Należy pamiętać, że wiek właściwy do podejmowania życiowych decyzji był wówczas o wiele wcześniejszy niż dzisiaj. Już czternastoletnie dziewczęta mogły wychodzić za mąż, a w przypadku powołań zakonnych kierowano się zasadą „im wcześniej do Boga tym lepiej”. I choć dewiza ta z całą pewnością płynęła z pobożności, musiała nieraz prowadzić do decyzji pośpiesznych, nieprzemyślanych. Toteż prawo kościelne ustaliło w wieku XVI, że nie wolno przyjmować panien do nowicjatu przed ukończeniem przez nich lat piętnastu, do ślubów zaś nigdy przed ukończeniem szesnastu. Oczywiście dziewczęta mogły zgłaszać się tak wcześnie, jak tylko chciały i mogły. Wolno im było nawet w klasztorze zamieszkać, jednakże z przyjęciem ich do wspólnoty zakonnej czekało aż osiągną wiek odpowiedni.

AGATA ZE ŚWIATA, A W ZAKONIE BEATA

W czasach staropolskich życie zakonne rozpoczynało się od nowicjatu - okresu przygotowania do życia we wspólnocie. Uczono wtedy czytania i pisania - jeśli kandydatka nie była wcześniej w przyklasztornej szkole - katechizmu oraz śpiewu, a przynajmniej czytania nut, przede wszystkim jednak oglądy zakonnej: „pilno nauczano kłaniania, chodzenia, stania i innych zakonnych uczynków, jako mają patrzeć oczy spuściwszy w dół, pomalutku mówić nie ze skwapliwością...” Z okresem nowicjatu wiązały się w każdym klasztorze dwie ważne ceremonie: obłóczyny na początku i śluby na końcu. Z obłóczynami, a więc obrzędem otrzymania habitu, wiązały się określone zwyczaje: kandydatka wkładała w celi czarną sukienkę (tunikę habitu), po czym w wianku na głowie i z zapaloną świecą w ręce wchodziła do kaplicy, gdzie siostry zgromadziły się już na Mszę. Po Mszy i Komunii panna podchodziła do ołtarza, składała na nim swój wianek, a brała leżący tam biały welon i udawała się do ksieni, która go jej wkładała.



Siostry brygidki.

Potem nowicjuszka wracała przed ołtarz, gdzie modliła się chwilę leżąc krzyżem, „oddając początki swe Oblubieńcowi niebieskiemu i z Nim umowę duchową czyniąc oświadczeniem gotowości swojej na wszelką cierpliwość”. Potem już tylko witała się z całym zgromadzeniem. Pół wieku później, w rozkwicie baroku, ceremonia ten odbywano z dużo większym przepychem. Panna miała być ubrana „jak najprzystojniej”, na głowie mogła mieć nawet koronę. Na początku uroczystości prowadziły ją drużny. Kapłanowi celebrującemu Mszę podawała świecę i wieniec, trzymany poprzednio w ręce, po czym więcej między drużny nie wracała. Leżenie krzyżem odbywało się nie w kaplicy wewnętrznej, ale w samym kościele, ksieni czekała z „asystencją” kilku zakonnic w prezbiterium. I tu właśnie na oczach ludzi strzyżono pannie włosy, zdejmowano bogate ozdoby oraz strój wierzchni, a ubierano w habit. Wszystko to oczywiście wśród długich, dokładnie przepisanych śpiewów i modlitw. Na koniec zaś „panna ksieni obleczonej pannie naznaaczała imię zakonne”.

Zwyczaj nadawania zakonnego imienia istniał jednak nie wszędzie i przyjmował się bardzo powoli. Nawet w późnym średniowieczu wiele zakonów w Polsce nie znało go zupełnie, a siostry nosiły imiona „przyniesione z domu”. Dopiero zakony potrydenckiej fali konsekwentnie nadawały siostrom nowe imiona, a niektóre nawet - jak karmelitanki bosc - nazwisko zastępowały tzw. predykatem nawiązującym do jakiejś tajemnicy wiary lub imienia jakiegoś świętego np. Barbara od Najświętszego Sakramentu, Beata od Matki Bożej.

W niektórych też zakonach posuwano się nawet do nadawania imion podwójnych. Nowe imię wiązało się ściśle z imieniem świętego patrona. Oczywiście w każ-

dym zakonie były imiona uprzywilejowane pochodzące od własnych założycieli lub świętych: u benedyktynek np. Benedykta i Scholastyka, u klarysek - Franciszka i Klara. Tu i ówdzie jako imiona nadawano łacińskie nazwy cnót: Humilitas, Sapientia, Caritas. Być może była to także wskazówka, w jakiej cnocie dana siostra najusilniej ćwiczyć się powinna?

A CO Z TYM POSAGIEM...?

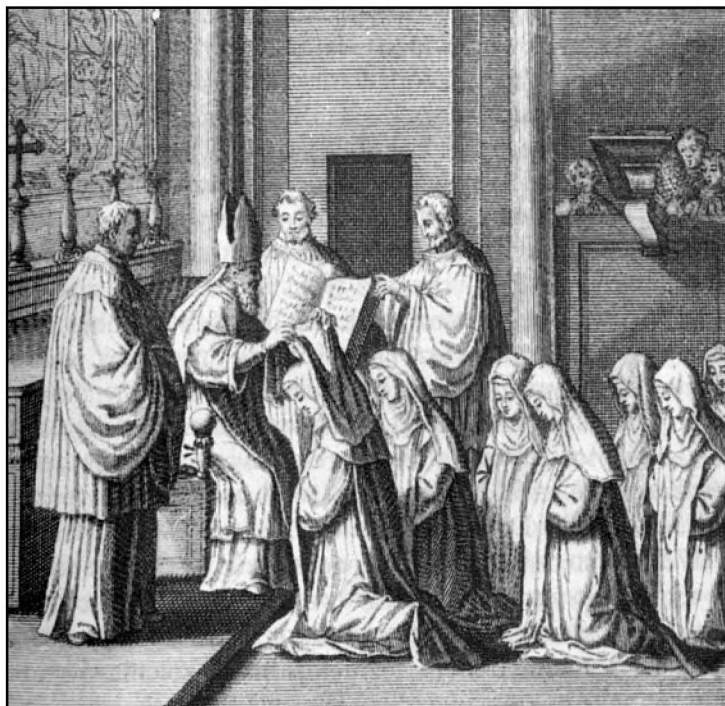
„Nie majątek stanowi o autentyczności powołania.”

Jakkolwiek by nie było słusznym to twierdzenie, faktem jest, że klasztor musiał na co dzień z czegoś się utrzymywać. W każdym zakonie posag był więc mile widziany, nawet tam, gdzie bez większych

„Nie majątek stanowi o autentyczności powołania.” Jakkolwiek by nie było słusznym to twierdzenie, faktem jest, że klasztor musiał na co dzień z czegoś się utrzymywać.

trudności przymykano oczy na jego brak. Zwykło się też w księgach klasztornych notować przy nazwisku nowicjuszki wysokość wniesionej sumy.

Posagiem wystarczającym była na tyle duża kwota, by z odsetek od niej można było utrzymać jedną osobę. Dla magnata była to błahostka, dla ubogiego lub nawet średniego szlachcica poważna pozycja



Profesja – nałożenie czarnego welonu.

w rozchodach. Stąd utarte powiedzenie, że „wokacja zakonna nierówno więcej kosztuje niżeli za mąż dając pannę”. Ale w końcu ile? Przykładowo w księgach klasztornych benedyktynek chełmińskich najniższy posag wynosił 150 florenów, najwyższy 3000. Do wyjątków należały posagi młodych magnatek liczące nieraz i po kilkanaście tysięcy. (Sensacją niebywałą okazał się posag Konstancji Radziwiłłówny, która w 1635 r. wniosła do Kamelu wileńskiego aż 50000 florenów!) Spisywano też więc z rodzicami panny odpowiednią intercyzę, zupełnie jak przy zamążpójściu i tak też jak przy zaślubinach: im bogatsza panna, tym większy posag. Zdarza się nieraz, że taki dokument odnajdujemy obecnie w archiwum... niestety wśród akt procesowych. Nie wymagano bowiem

składania posagu „z góry”.

Pannę najczęściej „oblekano i profesowano” przy samej tylko obietnicy posagu – po czym po jakimś czasie rozpoczynało się prawo, czyli proces. Klasztor oraz panna przeciwko rodzinie panny i naprawdę już nie wiadomo, co było lepsze i z mniejszym zatargiem: złożyć posag od razu tuż przed obłó-

czynami czy prawować się przez lata całe już po profesji.

Rzecz ciekawa - obok posagu dawano także pannie wyprawę, którą określał już bardziej zwyczaj niż ustawy zakonne, a cały wydatek na nią poniesiony zależał mówiąc współcześnie od aktualnych cen rynkowych. Zanotowana w księgach benedyktynek typowa wyprawa wyglądała mniej więcej tak: „24 koszule, 3 zmiany bielizny pościelowej, 2 habity, spódnica, podbity futrem kaftanik, 24 komplety zawicia, 2 czapki futrzane i sztukę płótna.” Przy profesji zaś wnoszono dodatkowo „2 togi, 2 habity, 2 welony, brewiarz, łyżkę srebrną, miseczki cynowe, kubek cynowy, kropielniczkę cynową, obrusu 50 łokci i ręczników ile kto może..”.

Mimo tak szczegółowych wyliczeń można się było dostać do klasztoru zarówno bez posagu, jak i bez wyprawy. Czasami poprzez protekcję, czasami z uwagi na talenty muzyczne, tak cenne w chórze zakonnym, a czasem także można znaleźć w klasztornych kronikach uwagi typu: „Jejmość panna X wniosła w posagu swoje cnoty”. Obecnie cała sprawa jest mocno zdezaktualizowana: od kogóż można w dzisiejszych czasach spodziewać się posagu...

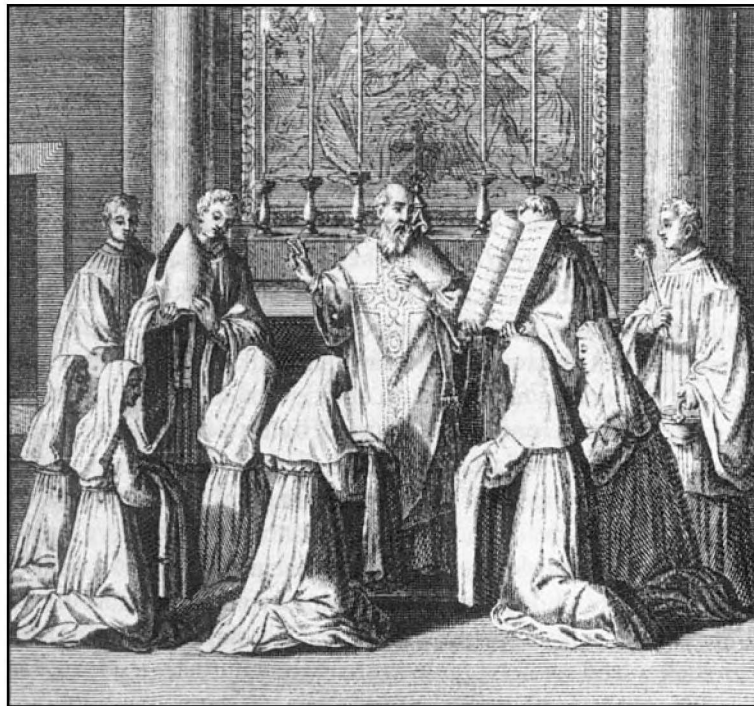
Z NIEBEM DZIŚ WCHODZI W TRAKTAT...

Końcem nowicjatu była profesja, czyli śluby zakonne. W tamtych latach nie

znano jeszcze ślubów czasowych, które zjawily się w prawie kanonicznym dopiero w XX wieku. Składano więc od razu śluby wieczyste. Każdy zakon miał swoją ustaloną formułę, która niezmiennie obejmowała wyliczanie ślubów oraz powołanie się na założyciela zakonu i na regułę, według której będzie się tych ślubów przestrzegać. Każdy też zakon miał swój ceremonial określający przebieg tej uroczystości. W przeciwieństwie jednak do oblóczyn, które obrosły w owych czasach mnóstwem teatralnych ceremonii, profesja w wielu zakonach odbywała się dosyć prosto. Najpierw następowała tzw. kapituła domowa – słuchano sprawozdania opiekunki nowicjatu o postępach i sprawowaniu nowicjuszek przez cały okres przygotowania. W niektórych zakonach był zwyczaj, że sama nowicjuszka wobec całego zgromadzenia składała prośbę o przyjęcie, bądź udawała się z tą prośbą do każdej siostry z osobna, ubrana w „łataną i pstrą odzież”. Wreszcie na kapitule odbywało się głosowanie, które ostatecznie rozstrzygało o losie panny. W następnej kolejności należało przeegzaminować nowicjuszkę, sprawdzić stan jej wiedzy o życiu zakonnym. Powiadamiano potem biskupa, który osobiście lub częściej przez delegata, egzaminował nowicjuszkę raz jeszcze. Potem organizowano dla niej rekolekcje, tygodniowe lub dłuższe, które były raczej czasem duchowego przygotowania się aniżeli ostatecznej decyzji, w końcu ustalano termin ślubów. Same śluby składało się nie w kościele ani nawet w kaplicy, ale wewnątrz klasztoru, w kapitularni. Profesję, w zależności od zakonu, przyjmowała przeorysza, spowiednik bądź kapelan klasztoru. Dostojników kościelnych trudzono rzadko, chyba że mieli blisko lub z jakiejś przyczyny wypadło ich zaprosić. Profesja musiała przypaść w niedzielę lub święto jakiegoś apostoła. Sam tekst ślubów był wyjątkowo u benedyktynek i cysterek spisywany na karcie, z której należało go w kościele odczytać, po czym publicznie kartę podpisać i złożyć ją na ołtarzu, skąd później wędrowała do archiwum. W innych zakonach nie podpisywało się kart, a tylko ślubowało ustnie. Potem należało jeszcze poświęcić szaty: czarny welon zamiast nowicjackiego białego i inne części stroju, którymi profeski różniły się od nowicjuszek.

W zasadzie był to główny zarys całego obrzędu, ale i w tym przypadku mijające lata przyniosły nieco dodatków. Np. po złożeniu ślubów nowicjuszka niekiedy padała krzyżem przed ołtarzem, nakrywano ją całunem, stawiano wokół świece i uderzano w dzwony na znak, iż umiera dla świata.

„Ludzie baroku lubowali się przecież w takich mocnych wrażeniach liturgicz-



Oblóczyny – biskup poświęca habity. |

nych co najmniej tak, jak dwudziestowieczni pisarze.”

Zakończeniem obrzędu było wprowadzenie neoprofesi do wspólnoty, której członkiem odtąd się stawała i wyznaczenie jej miejsca w chórze, najniższego oczywiście, ponieważ hierarchia ważności w zgromadzeniu liczyła się prawie wszędzie według daty ślubów. Ceremonii tej mogły towarzyszyć również kwieciste przemowy co dostojniejszych świeckich gości, którzy „tym żarliwiej wychwalali życie zakonne, im mniejszą mieliby sami na nie ochotę” uważając „że skoro Bóg ma zwyczaj wzywać niektórych ludzi do zakonu, to cieszymy się, że nie nas i że od nas zadowoli się usną pochwałą takiego powołania i ewentualnie garścią grosza.” Tak naprawdę jednak ci wszyscy znamienici goście nie byli w stanie pojąć złożoności zakonnego życia. Prawdę mówiąc nie rozumiała tego nawet dobrze sama nowicjuszka: „tylko niejasno przeczuwała, że wchodzi w coś równie strasznego jak wspaniałego. Wprawdzie tłumaczono jej to wszystko w nowicjacie i uprzedzano o wszystkim, ale na razie wie to raczej teoretycznie niż z doświadczenia”. Jest więc tylko nieco więcej świadoma istoty rzeczy niż ci wszyscy goście, którzy w nawie kościoła ocierali łzy wzruszenia podczas jej ślubów. A jednocześnie jest między nią a nimi ta podstawowa różnica, że to właśnie ona zdecydowała się z dobrej woli wypuścić z rąk wszelkie zabezpieczenie i skoczyć w ciemność, ponieważ wierzyła naprawdę, że wpadnie w ramiona kochającego Boga...” ■

Artykuł powstał w oparciu o pracę Małgorzaty Borkowskiej OSB „Życie codzienne polskich klasztorów żeńskich w XVII i XVIII wieku”, Warszawa 1996, z której pochodzą przytoczone w artykule cytaty źródłowe.

Marzena Baum jest doktorantką w Katedrze Historii Powszechnej Wieków Średnich KUL.